

KRYM 2011

Przygotowania

Pomysł zobaczenia Krymu urodził się w głowie Jarka na rok przed planowanym wyjazdem. Ja podłapując wyjazdowego bakcyła w święta Bożego Narodzenia zacząłem czytać przewodniki, relacje z wypraw i szukać na Google Earth fajnych miejsc do zobaczenia. Po 3 miesiącach miałem już przygotowany zarys wyprawy. Sam Krym miał nam zająć 10 dni w czasie których mieliśmy przejechać 1400km z czego 400 offroad. Ponieważ ogarnięcie całej wyprawy mnie przerosło podzieleniśmy się z Jarkiem obowiązkami. Ja planowałem Krym, zaś on drogę do i z Krymu. Jak się później okazało Jarek planował, ale w trakcie podróży :) za to moją trasę trudno było by zrealizować w 3 tygodnie, a co dopiero w tydzień więc było dużo, jak to potem nazwaliśmy, przewijania.



Planowana trasa na Krymie(pomarańczowy) / zrealizowana (czerwony)

Na miesiąc przed wyjazdem byliśmy jeszcze totalnie w proszku. Testowaliśmy pożyczonego GPS-a w Otwockich lasach, nie mieliśmy namiotów i połowy innego potrzebnego ekwipunku. Ja biegałem za butami, zbroją, namiotem, a na koniec zdecydowałem się na zakup własnego GPS-a co mocno nadszarpięło budżet wyprawy. Na szczęście Ukraina okazała się tak tania i moje obawy były o kasę były zupełnie bezpodstawne. Nawet pozwalaliśmy sobie na drobne szaleństwa, ale o tym w odpowiednim czasie.

Przed wyjazdem martwiliśmy się również o bezpieczeństwo, nie tyle nasze co naszych maszyn. Zrobiłem drobne rozpoznanie w ubezpieczalniach i okazało się, że jest możliwość ubezpieczenia maszyn ale tylko na rok i taka przyjemność kosztuje niebagatelne 8tyś zł!!! Da się jednak zmniejszyć tą kwotę. Otóż ubezpieczenie można płacić w ratach i zrezygnować z niego nie później niż miesiąc po zawarciu umowy. Więc tuż przed wyjazdem bierze się ubezpieczenie wpłaca pierwszą ratę w wysokości około 2tyś zł i zaraz po powrocie wypowiada ubezpieczenie. Ubezpieczyciel potrąca za ten czas odpowiednią sumę i resztę oddaje. Pomimo tak zredukowanego kosztu ubezpieczenia, darowaliśmy sobie. Co ma być to będzie. I dobrze, że tak zrobiliśmy bo wbrew wszelkim opiniom Ukraina okazała się bardzo gościnna i bezpieczna.

Pomimo chaosu który panował na tydzień przed wyjazdem udało się wszystko przygotować, zakupić i spakować. Maszyny objuczone, ubrania przygotowane i z niecierpliwością czekamy na wyjazd następnego dnia.

Dzień 1 – Opuszczamy Polskę - 511 km



Trasa – Dzień 1

Na miejsce startu wybraliśmy stację benzynową w okolicy Otwocka gdzie spotykamy się o godzinie 7:30. Tankujemy, Jarek pali ostatniego papierosa i ruszamy na razie asfaltami w kierunku Słowacji. Nie jest zbyt ciepło w pewnym momencie słyszę w słuchawkach Jarka, że musimy się zatrzymać. Zjeżdżamy na stację benzynową, a Jarek cały zapłakany. Myślę sobie, że ze radości :) w końcu wyjechaliśmy i pokonaliśmy pierwsze kilometry. Jednak okazało się, że to nie ze szczęścia, a z wichur szalejących u niego pod kaskiem. Szubko Jarek zakleił wloty powietrza szarą taśmą, wypalił papierosa i pojechaliśmy dalej.



Jarek zakleja wloty powietrza.

Polska minęła nam bardzo szybko. O godzinie 14:30 byliśmy już na granicy ze Słowacją i jedliśmy obiad. W tej samej knajpie jedli też Polacy wracający z Węgier. Korzystając z okazji poprosiliśmy ich o namiary na jakiś fajny nocleg na granicy Słowacji i Węgier. Polecili nam Sarospatak i wielkie dzięki im za to.

Po dojechaniu do miejscowości docelowej oczywiście musieliśmy się zgubić. Zatrzymujemy się na parkingu, akurat pod komendą policji. Widzę wychodzących na służbę funkcjonariuszy więc niewiele myśląc podbiegam do nich zapytać się o drogę. Ja do nich po angielsku oni odpowiadają po węgiersku. Ni ząb się nie dogadamy - pomyślałem. Zacząłem im rysować w powietrzu namioty itd., a on wsiadł do radiowozu i machnął ręką, żeby za nim jechać. I tak w eskorcie węgierskiej policji dojechaliliśmy na kemping.

Kupę śmiechu było już przy bramie. Przed wyjazdem dostałem od rodziców trochę obcej waluty w czym między innymi węgierskie fornty. Tyle, że jak chciałem nimi zapłacić za nocleg babka zrobiła wielkie oczy i ze śmiechem powiedziała, że takich pieniędzy nie widziała już ze 20 lat :) Mi się zrobiło głupio, a za nocleg zapłacił Jarek.

Cennik kempingu był tak sprytnie napisany, że po podsumowaniu wszystkich dodatkowych opłat za dwie osoby z namiotami wychodziło około 9000 forintów, a 5 osobowy domek kosztował 9500 (143zł) na dodatek przy opcji domku basen termalny był za free. Wybraliśmy oczywiście domek i wtedy sobie nie zdawaliśmy z tego sprawy, że to nie tylko pierwsze ale i ostatnie luksusy jakie spotykają nas na tej wyprawie.

Po zakwaterowaniu poszliśmy wymoczyć tyłki w 30 stopniowej wodzie. Siedzieliśmy do zamknięcia, a po powrocie do domku zaczęliśmy obmyślać plan drogi na przysły dzień.



Felerne péniszze



Basen

Dzień 2 – Rumunia, kraj tysiąca kraterów - 386 km



Trasa – Dzień 2

Wstajemy w miarę wcześnie i o godzinie 8:30 jesteśmy już gotowi do drogi. Węgry przejechaliśmy bardzo szybko i o 10:00 byliśmy już w Rumunii. W tym momencie żegnaliśmy się z ładnymi, prostymi asfaltami, a czekała nas wyboista droga przez góry wzdłuż północnej granicy Rumunii z Ukrainą.

Planując trasę dzień wcześniej zakładaliśmy dojechanie do granicy Rumuńsko-Mołdawskiej co później się okazało totalnie niewykonalne. Drogi w Rumuńskich górach są w fatalnym stanie. Jarek ciął po nich ostro, ale ja miałem psychiczny hamulec zwany felgami z gównoplastu. Bałem się pokrzywić felgi w drugim dniu wyprawy, aczkolwiek pod koniec Rumunii moje nastawienie się totalnie zmieniło.

Po dwóch godzinach od przekroczenia granicy ledwie ruszyliśmy się miejsca. Ale taki kawałek trasy wystarczył by nas oczarować. Piękne bogate budownictwo, dzikie góry na których wypasają się owce i wszechobecny spokój. Zatrzymaliśmy się na poboczu by Jarek mógł pójść kupić trochę owczego sera u chłopca pasącego owce. Jarek chyba trochę się z chłopcem nie dogadał, albo go okantowali bo sprzedali mu inny ser niż ten który próbował. W rezultacie jedliśmy potem jakiś taki nijaki, gumowaty, kiepsko przyprawiony wyrób seropodobny.



Rumuńska willa



Sklepik z serem

Będąc na jakiejś zapomnianej górskiej drodze zatrzymaliśmy się w knajpie na obiad (nie wiem jak może się utrzymać knajpa przy tak mało ruchliwej drodze), a później ruszyliśmy w dalszą wspinaczkę. Na razie byliśmy na 300mnpm, a tego dnia czekało nas ponad 1400mnpm. Na szczyt wspięliśmy się dopiero po 9 godzinach jazdy. Byliśmy bardzo zmęczeni i zdecydowaliśmy się szukać już jakiegoś noclegu. Żadnych kempingów raczej się nie spodziewaliśmy więc staraliśmy się rozglądać za dobrym miejscem do rozbicia namiotu na dziko. Wzdłuż drogi płynęła rzeka i znalezienie odpowiedniego miejsca wydawało by się banalne gdyby nie to, że wszystkie tereny dookoła rzeki były ogrodzone :(Zrezygnowaliśmy po kolejnej godzinie walki na kiepskich, dziurawych asfaltach postanowiliśmy przyspieszyć i dojechać jak najszybciej do najbliższego miasta.



Widok z góry



Nasz ser

W pewnym momencie kątem oka zauważyłem dużą bramę z logiem namiotu. Od razu dałem ostro po hamulcach, a Jarek pojechał dalej. Wróciłem się i nie mogłem uwierzyć w to co widzę kemping po środku niczego, ba na bramie było do tego napisane, że mówią po angielsku. Bajka :) Mieszkający tam Pan posiadał także pokoje do wynajęcia i na ten „luksus” się zdecydowaliśmy.

Jarek nosząc bagaże zauważył nad drzwiami napis „I love Giżycko”, od słowa do słowa zaczęliśmy się integrować z miejscowymi. Poczęstowali piwem i lokalnym wyrobem wysokoprocentowym ;P Przegadaliśmy pół nocy i dowiedzieliśmy się dużo fascynujących rzeczy o Rumunii które będziemy mogli wykorzystać planując wyprawę w celu zwiedzenia tych pięknych rejonów.



Szyld



Właściciel i jego znajomi

Dzień 3 – Mołdawia i kąpiele błotne - 438 km



Trasa – Dzień 3

W nocy ustaliliśmy trasę. Założyliśmy, że uda nam się tego dnia dojechać na Ukrainę i przenocować w okolicy Odessy. Oj szybko droga nam wybiła ten pomysł z głów.

Gdy wyruszyliśmy od naszych nowych przyjaciół pogoda była pochmurna i niezbyt ciekawa. Gdy zjechaliśmy z gór zaczęło padać. Droga była już równa i można było mimo wszystko trochę podgonić.



Widok z małego wzniesienia w Rumunii

Po 5 godzinach jazdy dotarliśmy do granicy Rumuni z Mołdawią. Na początku obawialiśmy się trochę przejazdu przez Mołdawię. Szczególnie baliśmy się, że przez przypadek wjedziemy na teren Republiki Naddniestrzu. Jest to nieformalny teren autonomiczny Mołdawii zarządzany przez Roskich w którym trzeba płacić duże pieniądze za

przejazd. Urzędnicy celni na granicy pytali nas o wartość naszych motocykli i pochwalili się przejętym przy próbie przemycenia kradzionym motocyklem co nas optymistycznie nie nastawiało. Odprawa poszła w miarę szybko i ruszyliśmy w poszukiwaniu jakiegoś obiadu.

Restaurację znaleźliśmy dość szybko. Klimatyczna typowo Mołdawska kuchnia. Zamówiliśmy jakąś ich lokalną potrawę, była bardzo dobra. Po obiedzie kelnerka zaproponowała nam nocleg w hotelu zlokalizowanym nad restauracją. My spojrzeliśmy na zegarki. Była 16:20 i stwierdziliśmy, że jeszcze uda nam się do wieczora zrobić ze 200km i to był największy błąd tego dnia.



Nasz obiad



Klimatyczny wystrój knajpki

Po ruszeniu z restauracji skierowaliśmy się do miejscowości Kotovosk. Poprzedniego dnia na mapie znaleźliśmy skrót który miał nam zaoszczędzić 100km drogi. Wadą skrótu było to, że nie były to drogi krajowe, a jakaś mniejsze lokalne. Na początku było super, szutry, leśne i polne drogi, aż się zaczęło. Najpierw trochę błota i zaliczyłem fikołka. Szybko się podniosłem w zasadzie nic się nie stało i pojechaliśmy dalej. Ale z każdym metrem było coraz gorzej, aż w końcu wylądowaliśmy na polu w błocie po kolana. Motocykle co chwile nam się wywracały, GPS krzyczy, że zostało tylko kilkaset metrów tego skrótu, ale pokonanie każdego metra zajmowało nam 10minut. Było już późno, byliśmy lekko mówiąc załamani. Podjedliśmy decyzję o wróceniu się do Kotocoska i pojechaniu głównymi drogami. Po godzinie walki w błocie byliśmy niemal w tym samym miejscu. Po każdym obrocie koła pod błotnik dostawało się tyle błota, że koło się blokowało, a motocykl wywracał. Błoto konsystencji plasteliny w dodatku z trawą i jakimiś drobnymi krzakami spod błotnika wydlubaliśmy łyżkami do opon. Po każdym obrocie koła sytuacja się powtarzała. Po 100m byliśmy skonani i mocno zdesperowani. W polu zauważyliśmy wrak jakiegoś samochodu i zastanawialiśmy się już nad zostawieniem motocykli w błocie i spędzeniu nocy w tym, że wraku. Ale nie poddaliśmy się i w końcu udało się wyciągnąć motocykle.



Tak się zaczęła Mołdawska przygoda



A tak kończyła



Metr po metrze



Zablokowane koło

Wróciliśmy do Kotocoska lecz nie udało nam się znaleźć tam noclegu. Zmęczenie dawało nam się mocno we znaki. Gdy po raz kolejny mijaliśmy po chodniku jakieś remonty drogowe nagle usłyszałem za sobą huk. Patrzę w lusterko, a motocykl Jarka stoi do góry kołami. Szybko stawiam swój i biegnę sprawdzić czy mu się nic nie stało. Całe szczęście nic. Motocykl też wyszedł bez szwanku. Co było cudem biorąc pod uwagę, że Jarek spadł z 20 centymetrowego krawężnika.

Wskoczyliśmy poza miasto i zaczęliśmy ostro ciąć przed siebie. Mieliliśmy nadzieję na jakiś nocleg na dziko, ale w okolicy były tylko podmokłe pola. Po nocy dotarliśmy do miejscowości Cimislia, gdzie na stacji benzynowej Jarek dowiedział się, że w mieście jest motel i nawet mogą mieć wolne pokoje co nas bardzo ucieszyło. Byliśmy bardzo zmęczeni, cali przemoczeni i ubabrani w błocie.

Z delikatnymi problemami, ale znaleźliśmy polecony nam motel. Do recepcji poszedł Jarek jako, że był czystszy. Mnie to by od razu wygonili :P Mina pani recepcjonistki była niezemska jak zobaczyła mnie wnoszącego ociekające błotem kufry. Do tego na wykładzinie w korytarzu zostawiałem piękne błotne odciski butów.

Motel nie był tani pomimo spartańskich warunków. W Mołdawii turyści zagraniczni muszą uiścić dodatkową opłatę. W sumie za dwie osoby zapłaciliśmy 30euro. Za to Jarek wynegocjował byśmy mogli wstawić motocykle do komórki na zapleczu motelu. Z radością się wykąпалиśmy i trochę obmyliśmy brudne ciuchy oraz porozwieszaliśmy wszystkie mokre rzeczy z nadzieją, że do następnego dnia wyschną.

Dzień 4 – Zaginiona Rybakivka - 360 km



Trasa – Dzień 4

Do granicy zostało nam już tylko 20km. Wstaliśmy rano i przejrzelismy motocykle czy aby na pewno ich poprzedniego dnia nie uszkodziliśmy. Ja naciągnąłem i posmarowałem łańcuch i byłem gotowy do drogi.

Wyjechaliśmy o 9:30 i pół godziny później byliśmy już na granicy z Ukrainą. Bardzo małe przejście graniczne, a razem z nami na przejściu stał mały bus z chłopakami jadącymi na zawody w boksie. Dzieciaki od razu pobiegły oglądać nasze motocykle. Celnik obawiając się, że mogą coś nam zwędzić lub popsuć podszedł do nich i zapytał „wasze motocykle” na co oni zaprzeczyli więc celnik pogonił ich słowami „to spadać mi stąd”.

Po 30 minutach odprawy byliśmy już na terenie Ukrainy. Mitycznej krainy złych milicjantów, złodziei i kiepskich dróg. Podczas naszego wyjazdu okazało się, że to wszystko co mówią o Ukrainie jest wyssane z palca.



Ukraina wita.

W planach na ten dzień było dojechanie na kemping w Rybakivka na którym Jarek rok wcześniej nocował.

Ruszyliśmy szybko, mijając pod drodze stepy akernańskie z których swoją podróż po Krymie zaczynał Adam Mickiewicz. Następnie również bokiem mineliśmy Odessę by po 7 godzinach dotrzeć do miejscowości Kobleve w której powinni byli byśmy skręcić w prawo, ale Jarek nie do końca pamiętał gdzie ta Rybakivka się znajduje. Więc pojechaliśmy dalej zgodnie z tym co pokazywał nam GPS. O 18 dotarliśmy do miejscowości na mapie opisanej jako Rybakivka, ale zjeździliśmy całą miejscinę i nie znaleźliśmy kempingu o który chodziło Jarkowi. Po godzinie wyjechaliśmy kawałek za miasto i zatrzymaliśmy się na klifie, żeby zobaczyć zachód słońca i wtedy Jarek przypomniał sobie, że jak on jechał z kempingu to klif miał po prawej stronie, a my po lewej. I eureka, pojechaliśmy 5km dalej i znaleźliśmy nasz kemping. Okazało się, że kemping nazywający się Rybakivka znajduje się w miejscowości Morske :)



Klif w okolicach Rybakivki

Kemping świecił pustkami, na plaży wśród tysięcy komarów i innego robactwa byliśmy rozbici w zasadzie tylko my. Przeszliśmy się po obozie sklepów i knajp, zjedliśmy kolację i położyliśmy się spać. Następnego dnia w planach było wjechanie na Krym.

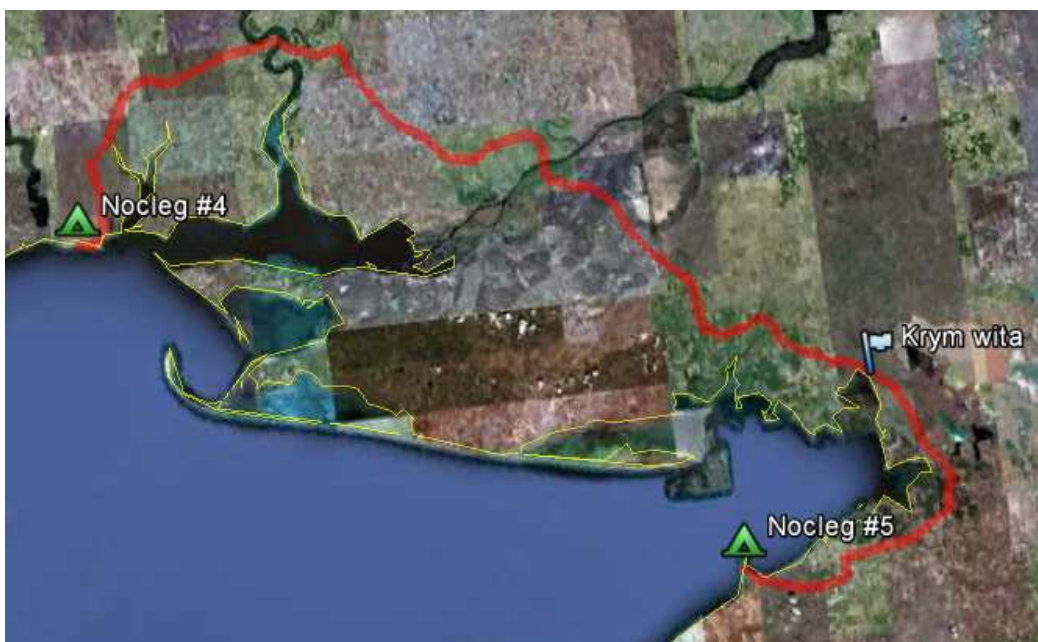


Ukraińskie robactwo na kempingu



Nasz obozisk

Dzień 5 – Krym Wita - 370 km



Trasa – Dzień 5

Dzień wita nas ładną pogodą i o 8:30 jesteśmy gotowi do wyjazdu. Obozowisko zwinięte, wielbłądy załadowane i ruszamy.

Po drodze obaliliśmy pierwszy mit dotyczący Ukraińskich dróg. Wbrew pozorom są one dość dobrej jakości. Może czasami brakuje namalowanych na nich pasów, ale są równe i nie dziurawe.



Wielbłąd?



Ukraińskie drogi

W drodze na Krym zatrzymaliśmy się w Mikołajowie i wymieniliśmy w banku trochę pieniędzy, a zaraz za miastem wstąpiliśmy na mały obiadek. Piękna wielka knajpa, pod nią zaparkowane luksusowe samochody na ruskich rejestracjach, a za płotkiem biegały sobie strusie. Dostaliśmy menu w którym pozycje były również w języku angielskim. Język angielski na Ukrainie to luksus. W zasadzie styczeń z tym językiem miałem tylko dwa razy niestety. Korzystając z okazji, że znam angielski przzeruciłem na dania głównie wybrałem pozycje mięsem i liczyłem na wielką porcję świniaka. Lecz okazało się, że chyba oni nie do

końca wiedzą co napisali, albo kelner źle sobie zapisał bo dostałem zupę. Ale była dobra i syta więc nie narzekałem za to Jarek miał ubaw ze mnie po pachy :).

To już drugi dzień po Mołdawii, a z naszych motocykli nadal wykrusza się błoto. Przed restauracją Jarek wyjął błotny odcisk podnóżka:)



Moja zupa



Błotny odcisk podnóżka

Droga na Krym minęła w zasadzie dość szybko. Po 6 godzinach jazdy staliśmy na granicy Autonomii Krymskiej. Zrobiliśmy sobie sesję zdjęciową pod znakiem powitalnym i ruszyliśmy do najbliższego miasta w celu zakupu artykułów pierwszej potrzeby.

W miejscowości Sterehushche zjechaliśmy z asfaltu na piękną szutrową drogę prowadzącą na daleko wysunięty w morze półwysep. Po kilkudziesięciu metrach dojechaliśmy do szlabanu. Ponieważ półwysep jest rezerwatem trzeba było uiścić opłatę w wysokości 10 hrywien od osoby (3,5zł). Zaraz za szlabanem Jarek wziął ode mnie aparat i nakręcił film jak pokonujemy drogę na sam koniec półwyspu. Pod dojechaniu na miejsce zbiega z motocykla i krzycząc „ale super film nakręciłem” podbiega do mnie i prosi bym do puścił. Śmiechu było dużo jak się okazało, że na filmiku oprócz kawałka baku 1150GS nic więcej nie widać :P



Krym wita



Artykuły pierwszej potrzeby



Szlaban w drodze na półwysep



Droga na kemping



Nasz obóz



Jarek pocięty przez komary

Na końcu drogi robimy trochę fajnych zdjęć i jedziemy się rozbić na plaży. Po rozstawieniu obozu bierzemy się za konsumpcję artykułów pierwszej potrzeby i zwiedzanie okolicy. Na cyplu znajdowała się ubikacja pamiętająca chyba czasy świetności Krymu, plaża na której zamiast piasku były drobno potłuczone muszelki oraz zimna woda w której tylko Jarek odważył się wykapać. Niestety tutaj tak samo jak na poprzednim noclegu było pełno komarów które od razu ze smakiem zabrały się za ucztę z naszej słodkiej krwi.



Jarek pływa w morzu



Muszelki na plaży



Toaleta



Zabezpieczenie antykradzieżowe

W trakcie gdy robiliśmy kolację obok nas rozstawili swoją przyczepę kempingową ludzie który przyjeżdżają w to miejsce już któryś raz z rzędu. Powiedzieli, że trafiliśmy na taki okres w który na Krym dopiero zaczynają zjeżdżać się turyści. Szczególnie z tego powodu, że przez ostatnie 3 tygodnie to miejsce nawiedzały straszne ulewy i jest jeszcze dość chłodno.

Po zjedzeniu kolacji obejrzelśmy zachód słońca i poszliśmy spać myśląc o jeździe przez stepy która nas czekała następnego dnia.

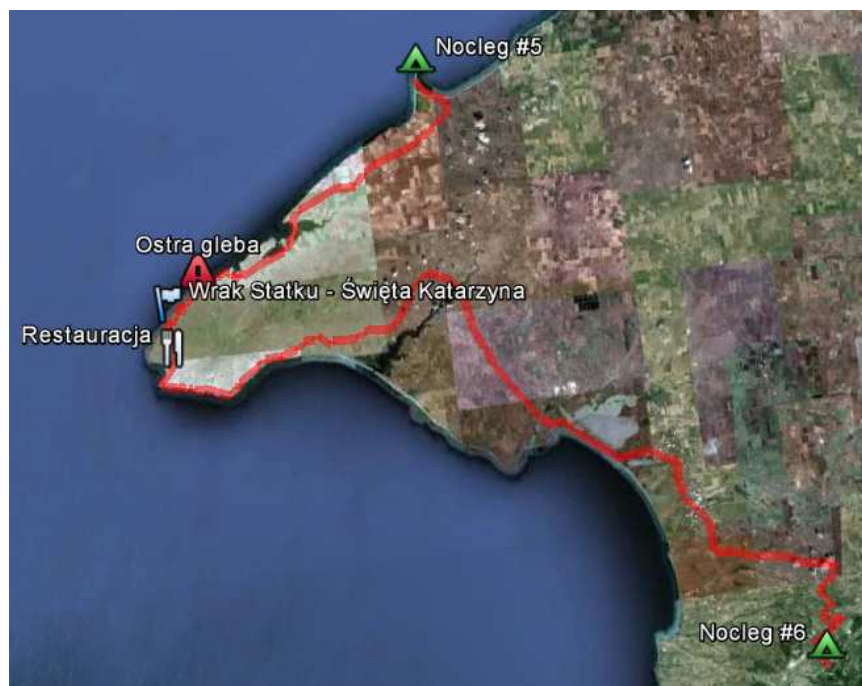


Jarek dotuje kolację



A tu ją spożywamy

Dzień 6 – Stepy - 291 km

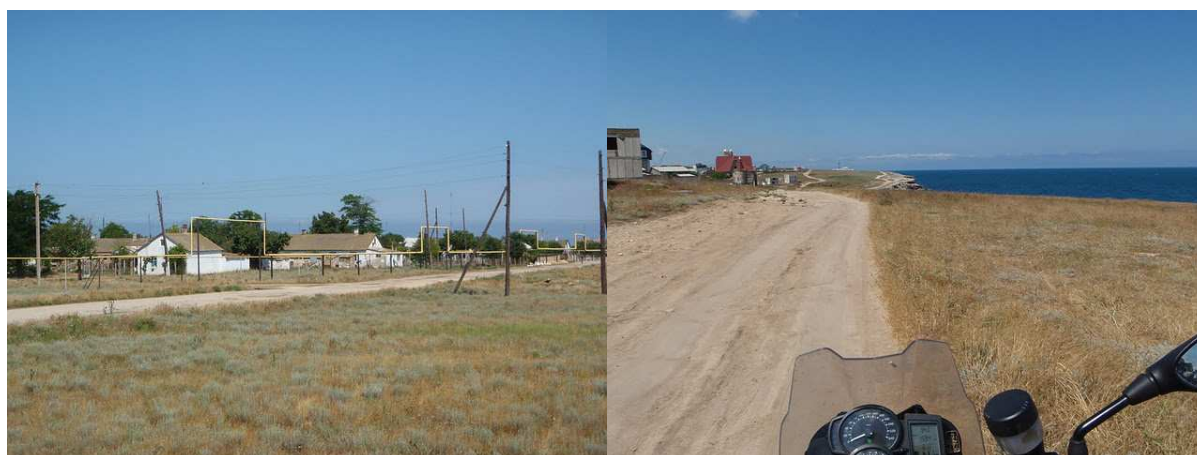


Trasa – Dzień 6

Tego dnia wstajemy rano bardzo podekscytowani. Pierwsze odcinki offowe na Krymie. Ja przez zimę tysiące razy przejechałem je w widoku z góry (GoogleEarth) niczym w pierwszych częściach GTA i nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć je w realu.

Więc szybko się pakujemy, by o 10 opuścić półwysep i skierować się do miasta Chronomorske w którym mieliśmy wjechać na stepy. Po drodze mijamy pierwszą ciekawostkę na Krymie. Otóż tu instalacja gazowa jest poprowadzona po powierzchni ziemi.

By na stepy dojechać jak najkrótszą drogą w miasteczku skręciliśmy w prawo w jakieś niewielkie osiedle. Gdy droga osiedlowa się skończyła wjechaliśmy na chodnik, potem już tylko na skrót przez śmietnik, kilka metrów ścieżką dla pieszych przez lasik i już byliśmy u bram stepów :D



Napowietrzna instalacja gazowa

Bramy stepów

Mnie stopy urzekły od pierwszego spojrzenia i czerpałem radość z każdego metra jazdy nimi. Po paruset metrach zniknęło z lusterek miasto i od tej pory po horyzont w każdą stronę było widać tylko karłowatą roślinność i morze.

Z każdym metrem było coraz ciekawiej. Na początek zatrzymaliśmy się obok dziwnej budowli wyglądającej trochę na latarnię morską. Porobiliśmy kilka zdjęć i ruszyliśmy dalej. Jechaliśmy coraz pewniej i coraz szybciej, aż to w pewnym momencie BUMM... i leże. Droga była w delikatnym zagłębieniu i z mocno wyrobionymi koleinami. Zarzuciło mi motocyklem i wybiło mi przednie koło poza drogę co skończyło się przewrotką. Niefart był taki, że podwinęło mi nogę która utkwiła w tylnym kole pod lewym kufrem. Gdyby nie Jarek nie dał bym rady sam się z tej sytuacji wydostać. Podnieśliśmy motocykl powoli usiadłem na brzegu drogi i zacząłem oglądać nieszczęsną nogę. Całe szczęście na kilka dni przed wyjazdem udało mi się kupić porządne turystyczne buty które uratowały moją kostkę. Trochę bolało, ale szybko przeszło i można było się dalej zachwycać kilometrami pięknego klifu tylko tym razem już trochę wolniej :P

Po kilometrze drogi coraz częściej zaczynały się rozwidlać. Z reguły wybieraliśmy te bliżej morza, ale było w tym sporo ryzyka. Co jakiś czas morze głębokimi lejami wdziera się w ląd. I przy każdym takim wcięciu musieliśmy pokonać stromy zjazd w dół do poziomu morza i zaraz po nim stromy kamienisty podjazd z powrotem na klif. W wielu takich zagłębieniach były piękne plaże w których kwitła dzika turystyka. Jakies namioty, grille i naprawdę fajne klimaty. Przez resztę wyprawy żalowaliśmy, że jeden z noclegów nie wypadł nam właśnie w takim miejscu.

Po kilku stromych podjazdach i przejechaniu przez naprawdę wielkie i głębokie kamienie (które Jarek na pamiątkę woził między szprychami) postanowiliśmy tak ostro nie ryzykować i odjechaliśmy trochę od morza zagłębiając się w dzikie stopy. Po 4 kilometrach GPS krzyczy, że mijamy właśnie fajne miejsce które w zimie zaznaczyłem na mapie.

Tym fajnym miejscem był wrak statku Święta Katarzyna który osiadł na mieliźnie tuż przy klifie. Więc skierowaliśmy się z powrotem w stronę morza na poszukiwanie skarbów. Statek znajdował się w tak malowniczym miejscu, że spędziliśmy na łożeniu po skałach ponad pół godziny. Spoglądając wzdłuż wybrzeża widać było szereg zjazdów i podjazdów o których wcześniej wspominałem.



Dziwna budowla na brzegu morza



Kamienie w szprychach



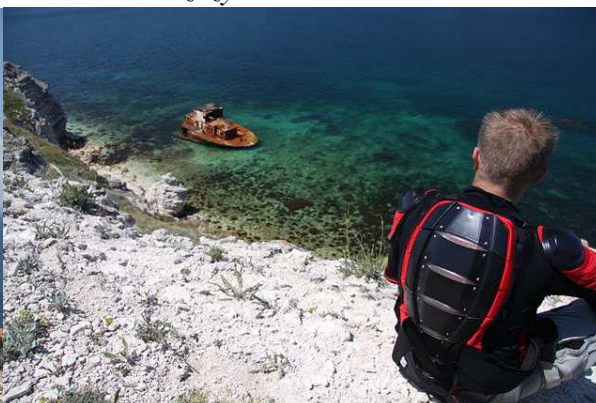
Stepy



Tam na szczycie stoi Jarek



Widok wzdłuż brzegu morza



Wrak świętej Katarzyny

Gdy spojrzeliśmy na zegarki była już pora obiadowa więc z bólem stwierdziliśmy, że musimy przewinąć część stepów i skierowaliśmy się w stronę Olenivka w celu konsumpcji jakiegoś żarełka. Trafiliśmy do małej knajpki prawie na końcu miasteczka gdzie kelnerka zakochała się w Jarka BMW. Widać, że ten znaczek działa na Ukrainki :P Jarek dał się namówić na przewiezienie jej po czym ruszyliśmy w dalsze zwiedzanie stepów.



Kelnerka z restauracji



Jarek je owoce morza

Tym razem wjechaliśmy na dość mocno turystyczną część stepów na której było sporo zarówno turystów pieszych jak i tych jeżdżących samochodami. Do tego po drodze było trochę atrakcji takich jak jaskinie, świątynie, wojskowe stacje radarowe i takie tam podobne.



Wspólne zdjęcie na stepach



Świątynia na samym brzegu klifu

Niestety po 5 godzinach zabawa ze stepami dobiegła końca. Ponieważ na ten dzień w planach było jeszcze zwiedzenie opuszczonego lotniska, łaźni i wielu innych atrakcji, a na koniec dojechanie do oddalonego o ponad 150km Bakhchysaraiu więc musieliśmy odpuścić sobie przytoczone powyżej atrakcje i po raz kolejny „przewinąć” trochę drogi skupiając się na tym by udało nam się przed zmrokiem znaleźć nocleg w kanionie. Co później okazało się bardzo słuszną decyzją której akurat w momencie podejmowania bardzo żalowaliśmy.

Tak więc ruszyliśmy już asfaltami na północ. Droga w miarę ładna, prosta szybka i tak nużąca, że nagle ze wspomnień minionej zabawy na stepach wybrudził mnie alarm GPS. Dałem ostro po hamulcach i ze zdziwieniem patrzę na GPS który sygnalizuje, że przejechaliśmy zjazd. Myślę sobie „Ale jak to się stało, przecież po drodze mijaliśmy tylko kilka prywatnych zabudowań.”. Wracamy powoli do miejsca w którym powinniśmy zjechać. Stajemy przed jakąś bramą, a ja nadal z niedowierzaniem patrzę na GPS który pokazuje, że mamy jechać prosto przez bramę. No to OK. Jak tak każe to jedziemy. Okazało się, że to nie brama, a pozostałość po wspomnianej wcześniej naziemnej instalacji gazowej. Ze zdumieniem patrzyliśmy na to co się ukazywało naszym oczom zaraz za magiczną bramą. Nagle mała uliczka którą jechaliśmy zamieniła się w dwupasmową jezdnię z dzielącym przeciwne pasy ruchu pasem zieleni. Dookoła opuszczone budynki, droga dziurawa i mocno zaniedbana. W niektórych miejscach przez asfalt przebijała się trawa i dość duże krzaki niczym z filmu „Jestem legendą”.



Dziwna brama która nas zmyliła.

Po wyjechaniu z miasta duchów wjechaliśmy na piękną asfaltową przelotówkę w stronę stolicy Krymu na której z czasem pojawił się duży ruch samochodów osobowych i ciężarówek więc w miejscowości Chobotarka uciekliśmy na mniejszą drogę licząc na to, że skrót który znalazłem w trakcie przygotowań istnieje i jest dla nas przejezdny gdyż nie mieliśmy zamiaru przedzierać się przez mało ciekawą stolicę.

Po dojechaniu do miejsca w którym zaczynał się skrót widzieliśmy przed sobą tylko jedną drogę. Lecz gdy zaczęliśmy nią jechać na GPS widziałem, że coraz bardziej zbaczamy z wyznaczonego kursu. Robiło się coraz później, a my coraz dalej od celu, ale nie mieliśmy już większego wyjścia droga ładna i fajna to jechaliśmy przed siebie w trakcie przestawiłem GPS na funkcję kompasu. Nawigując na azymut udało się nam wyjechać w miejscu w którym planowaliśmy.

Mieliśmy już 9 godzin jazdy za sobą. Powoli robiło się ciemno więc zrobiliśmy szybko zakupy i na mapie wyczailiśmy jakiś kemping w kanionie. Stwierdziliśmy, że rezygnujemy z zaplanowanych jeszcze na dzisiaj jazd terenowych i staramy się rozbić jeszcze przez zmrokiem. Do znalezionej kempingu pozostało nam tylko 4km więc ruszamy. 1,5km asfaltem pokonujemy bardzo szybko, ale nie miało nam pójść wcale tak łatwo. Asfalt się kończy GPS mówi prosto tylko problem w tym, że prosto wcale nie ma żadnej drogi. Więc skręcamy w lewo, tam też jej nie ma. To się wracamy i w prawo. Tym razem znaleźliśmy jakąś drogę prowadzącą w górę. Po kilometry droga zaczęła znikać i zanim się obejrzelśmy staliśmy na środku łąki, a przed nami tylko pas drzew. Zsiadłem z motocykla i poszedłem zobaczyć co jest za drzewami. Przed pasem drzew znalazłem drogę i już byłem zadowolony, ale jak wyjrzałem za drzewa to aż mnie zamurowało. Ujrzałem tam piękny widok na wielki kanion choć niestety kempingu nie było widać. Ciemno się robi więc wracamy szybko do motocykli i jedziemy dalej. Po chwili mijamy po lewej stronie kawałek wiarę płaskiego terenu i decydujemy się tu zatrzymać. Z naszego obozowiska był fantastyczny widok na cały kanion, lecz mimo tego nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. GPS w ogóle nie miał tej części mapy.



Nasze motocykle na łące

Widok za wspomnianych drzew

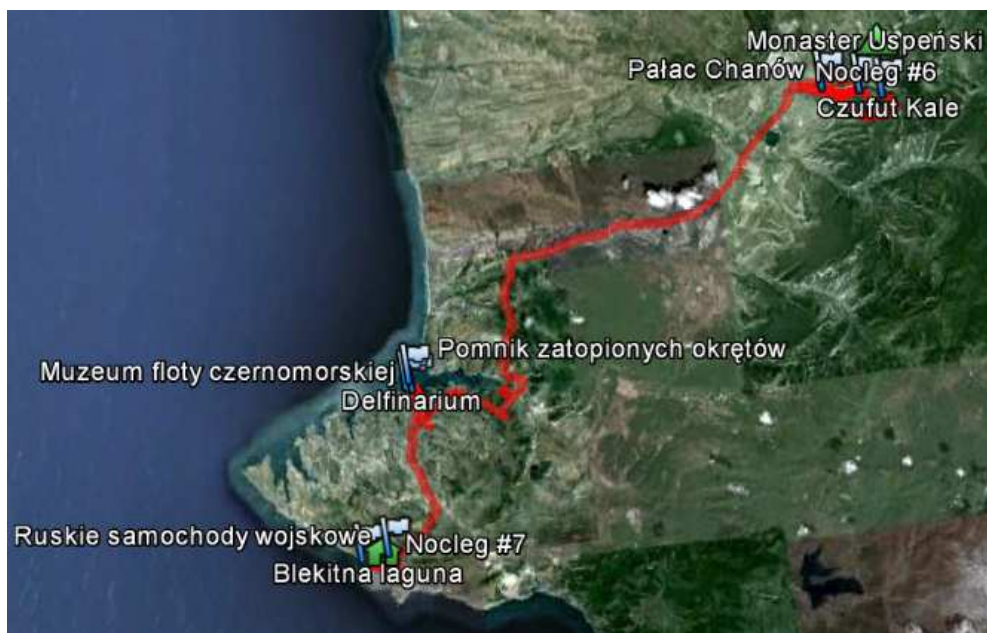
Jarek szybko znalazł miejsce na ognisko. Co śmieszniejsze w pełni przygotowane, wyłożone kamieniami i z przygotowanym chrustem. Ja poszedłem tylko poszukać kijków na kiełbaski i tego wieczora mieliśmy bardzo przyjemny wieczór z pogawędkami przy ognisku, na szczycie góry, z dala od jakiegokolwiek cywilizacji.

Najzabawniejsze, że po powrocie do domu i obejrzeniu śladu nie mogłem uwierzyć w to co widzę. Okazało się, że GPS miał rację i powinniśmy byli wtedy jechać prosto w krzaki zamiast szukać drogi, bo zaraz za tymi krzakami była droga. Po drugie rozbiliśmy się dokładnie w miejscu w którym na mapie był zaznaczony kemping i to by tłumaczyło przygotowane miejsce na rozpalenie ogniska.



Obozowisko na szczycie góry

Dzień 7 – Skalne miasta i zagubione skarby - 100 km



Trasa – Dzień 7

Plan na ten dzień był bardzo obszerny. W związku z tym postanowiliśmy wstać wcześniej tak, żeby dojechać do miasta o godzinie 9. To udało się zrealizować zgodnie z planem, ale tego dnia jak zwykle nie udało się zrealizować całego planu i było dużo przewijania oraz oczywiście nie obeszło się bez przygód.

Po przejechaniu pierwszych kilkuset metrów naszym oczom ukazał się Monaster Uspeński po drugiej stronie kanionu. Był to nasz pierwszy cel na dzień dzisiejszy. Pięć kilometrów do Bachczysaraju przejechaliśmy bardzo szybko i o 9 staliśmy już na parkingu przed Monasterem. Parking jest free jeśli się skorzysta z tatarskiej restauracji zlokalizowanej tuż obok. Ponieważ i tak musieliśmy gdzieś zjeść obiad zadeklarowaliśmy się, że zanim zabierzemy maszyny wstąpimy do restauracji. Pan parkingowy przechował nam przy okazji ciuchy i kaski byśmy nie musieli z nimi chodzić. Przebraliśmy się na lekko i ruszyliśmy na zwiedzanie Monasteru.



Widok na Monastyr z naszego obozowiska



Droga do Bachchisaraju

Monaster Uspieński jest klasztorem Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny zbudowanym wewnątrz góry więc nie omieszkaliśmy zajrzeć do środka. Od razu nas upomniano, że nie wolno tam fotografować, a szkoda. W pierwszej komnacie odbywało się jakieś nabożeństwo. Postaliśmy chwilę i poszliśmy dalej. Po schodach weszliśmy na górę, gdzie była sala z kolumnami. Trwała tam jakaś ceremonia. Przed kapłanem stało sześcioro wiernych z tym, że nasza uwaga skupiła się na jednym z nich. Za każdym razem gdy wykonywany był znak krzyża chłopakiem rzucało jak by ktoś mu mocno przywalił w klatkę piersiową. Kilka razy mało się nie przewrócił. Miotano nim na wszystkie strony, byliśmy z lekka przerażeni ale i zafascynowani tym zjawiskiem. Długo staliśmy i patrzyliśmy się najprawdopodobniej na opętanego i wykonywane egzorcyzmy.

Po wyjściu z Monasteru złapaliśmy busa który za 2 hrywny wozi turystów do Pałacu Chanów. Na te 2km nie opłacało nam się ruszać maszyn z parkingu.



Chaty przy monasterze

Kompleks pałacowy Chanów Krymskich zlokalizowany jest w centrum Bachczysaraju. W czasach swojej świetności pałac zamieszkiwało większość Chanów Krymskich. Do dzisiaj zachowała się zaledwie ¼ kompleksu. Zwiedziliśmy Muzeum Historii i Kultury Tatarów znajdujące się w głównym pałacu oraz część modlitewną.



Pałac chanów

Buciki dla Jarka

Po powrocie z pałacu poszliśmy do wspomnianej wcześniej restauracji. Knajpa była w stylu tatarskim. Po całej posesji rozrzucone były małe niskie stoliki pod daszkami. Szybko znaleźliśmy jeden wolny i zamówiliśmy najbezpieczniejszą potrawę czyli szaszłyki.



Restauracja w Bachchysaraju

Na parkingu zaczepił nas gość proponujący zaprowadzenie pod same drzwi skalnego miasta za 100 hrywien. Odmówiliśmy gdyż w domu sam znalazłem tę drogę i miałem ją dobrze przygotowaną w GPSie. Więc ruszamy. Droga nie była najlepsza, po dużych luźnych kamieniach dość ostro pod górę. Po drodze wypadła nam z bagażu butelka z wodą. Gdy zatrzymaliśmy się i przekrzykiwaliśmy z góry schodził jakiś Pan. Jak tylko nas usłyszał rzucił torby i zaczął biec w naszą stronę. Był to Polak od dawna mieszkający na Krymie i tęskniący za ojczyzną. Popłakał się z radości rozmowy z krajanami. Pochodzi z Wieliczki co można by było powiedzieć wcale z nim nie rozmawiając ponieważ zdradzał go napis na czapce „I love Wieliczka”. Żyje na Krymie z bardzo skromnej emerytury wynoszącej 300 hrywien miesięcznie. Marzy mu się przyjazd do Polski. Nawet ma zaproszenie od Polskiego Radia lecz nie stać go na paszport kosztujący ponad 3000 hrywien. Długo z nim rozmawialiśmy, a na koniec daliśmy mu 100 hrywien. Chłop nie chciał przyjąć. Zarzekał się, że on nie żebrak. Że on chciał tylko z nami porozmawiać w ojczystej mowie. Na koniec udało się mu jakoś te pieniądze wcisnąć. Popłakał się i życzył nam szczęśliwej podróży. Wsiadamy na motocykle i ruszamy dalej.

Na parędziesiąt metrów przed skalnym miastem zatrzymaliśmy się na krawędzi urwiska. Fantastyczne miejsce na zrobienie sobie zdjęć. Szybko wyciągam aparat robimy co zamierzaliśmy pakujemy się i ruszamy dalej. Parę metrów później słyszę brzdęknięcie. Pomyślałem, że może to kamień uderzył o silnik, ale dźwięk był jakiś taki inny i nie dawał mi spokoju do samego skalnego miasta. Gdy zaparkowaliśmy motocykle i chciałem wyciągnąć z kufra aparat okazało się że nie mam nigdzie kluczyków i się wyjaśniło czym był ten dziwny odgłos. Niewiele myśląc pobiegłem w miejsce gdzie najprawdopodobniej je zgubiłem, ale nie znalazłem. Trudno. Całe szczęście z domu zabrałem zapasowe. Wróciłem pod skalne miasto i weszliśmy do środka.

Chufu Kale to miasto twierdza wybudowane w VI wieku. Ostatni mieszkańcy opuścili to miejsce na przełomie XIX/XX wieku. Bardzo szybko stało się ciekawostką turystyczną. Po przejściu przez bramę kupiliśmy bilety i wyzaliłem się strażnicze, że zgubiłem kluczyki od motocykla jak by to miało mi w czymś pomóc. Na domiar złego zaczęło kropić. A składając wszystkie niepowodzenia do kupy okazało się, że w tym dniu na terenie skalnego miasta kręca jakiś film i połowa miasta jest zamknięta dla zwiedzających. Podobno w filmie grała jakaś Polska aktorka i część ekipy gadała po Polsku. Korzystając z okazji, że kręciło się tam dużo ludzi w przebraniach z epoki świetności miasta robiliśmy sobie z nimi klimatyczne zdjęcia. Zwiedziliśmy kilka chat. Niektóre miały nawet po 2 piętra, oczywiście w dół, wydrążone w skale.



Widok z drogi do skalnego miasta



Brama do Chufu Kale



Ekipa filmowa



Jarek z filmowym statystą



Widok na wąwóz z okna jednej z chat.

Gdy wychodziliśmy z miasta w bramie powiedziano nam, że znalazły się moje kluczyki i, że za pół godziny je przywiozą. Gość z kluczykami pojawił się dopiero po ponad godzinie na do datek był to ten sam gość który proponował nam zaprowadzenie nas pod bramę skalnego miasta. Więc było do przewidzenia, że za zwrot kluczyków zażąda sobie 100 hrywien. Trudno ważne, że się odnalazły.



Szczęśliwy po odzyskaniu kluczyków

Straciliśmy dużo cennego czasu, a chcieliśmy zobaczyć jeszcze muzeum Floty Czarnomorskiej i delfinarium na którym bardzo zależało Jarkowi. Z przykrością musiałem mu powiedzieć, że raczej nie mamy szans dotrzeć na czas do delfinariom, a tym bardziej zobaczyć delfinarium i floty czarnomorskiej. Choć sam już w głowie obmyślałem jak zrobić, żeby jednak się udało. Spojrzałem na GPS i było oczywiste, że to nie możliwe, ale... my nie damy rady? Szybko na motocykle i ruszamy do Sewastopola.

W godzinę zrobiliśmy po górach i ciasnych zakrętach 60km i wyrobiliśmy się na 2 minuty przed pokazem w delfinarium. Jarek był zaskoczony bo myślał, że sobie to odpuściliśmy. Choć z żalem musieliśmy przewinąć Inkerman i skalną bramę.

Po wejściu do delfinarium od razu zauważyliśmy, że coś jest nie tak. Nie tak sobie to wyobrażaliśmy. Na widowni siedziały same dzieci, a w malutkim baseniku skakały sobie foki, ale w programie były też delfiny. Więc poczekaliśmy. Obejrzeliśmy fajny pokaz z 3 delfinami i ruszyliśmy w poszukiwaniu muzeum Floty Czarnomorskiej.



Delfinarium

Gdy znaleźliśmy muzeum byliśmy po raz kolejny rozczarowani. Muzeum zamknięte z powodu remontu. Obeszliśmy dookoła i porobiliśmy sobie zdjęcia z eksponatami znajdującymi się na terenie po czym postanowiłem, że zejdziemy na dół skarpy zobaczyć samą flotę. Chyba nie zostało jej wiele bo ledwo naliczyliśmy kilka statków. Z rozczarowaniem wróciliśmy do motocykli przechodząc jeszcze obok pomnika zatopionych okrętów i robiąc zakupy. Czas uciekać z tego wielkiego miasta nad błękitną lagunę w poszukiwaniu jakiegoś noclegu.



Muzeum floty czarnomorskiej



Pomnik zatopionych okrętów

Radzieckie pojazdy wojskowe

Po dojechaniu do Fiolent stanęliśmy na bardzo wysokim klifie i dole widzieliśmy ludzi schodzących do laguny. Zapytani ludzie stojący niedaleko powiedzieli nam, że schodzi się tam z pół godziny i, że można tam rozbić namioty. Taka opcja odpada bo nie zostawimy motocykli na górze poza tym za pół godziny było by już bardzo ciemno. Cud zesał nam gościa który niedaleko miał do wynajęcia pokoik. Jarek wziął go na plecaka i ruszyliśmy. Po chwili zameldowaliśmy się w niedużym pokoiku rozpakowaliśmy, szybko zjedliśmy małą kolację i ruszyliśmy nad lagunę z nadzieją, że tym razem będzie ciepła woda i da rade się wykapać.

Po morderczym zejściu kolejne rozczarowanie. Woda jeszcze zimniejsza niż ta na stepach. Tylko Jarek się przemógł i wykapał. Na plaży nocowali różni ludzie, większość turystów, ale byli tutaj też ludzie którzy wyglądali na stałych mieszkańców plaży. Coś w stylu jakiś koczowników. Brudni i mieszkający w szałasach na skraju plaży. Wypiliśmy po piwie i wróciliśmy do pokoju.

Nasz gospodarz okazał się muzykiem i na najwyższym piętrze domu akurat prowadzili nagrania. Z miłą chęcią poszliśmy sobie posłuchać tego małego koncertu, a później padliśmy zmęczeni spać. To był bardzo wykańczający dzień, a szykowały się przed nami jeszcze bardziej męczące.



Błękitna laguna



Nasze motocykle nad laguną



Koncert



Domek w którym spaliśmy

Dzień 8 – Yellow Submaine - 207 km



Trasa – Dzień 8

Na Krymie nigdy nie wiadomo czy droga która widnieje na mapie jest drogą w rzeczywistości. Nie raz się przekonaliśmy o tym, że wiele dróg jest albo prywatnych albo wojskowych. Tak też było tego dnia z samego rana. Ledwie przejechaliśmy 2 km i już szlaban na drodze i wojskowy zabraniający wjazdu, a miało być tak fajnie. Nic innego nie pozostało jak cofnięcie się do głównej drogi.

Pierwsza w planie była miejscowość Balaklava i zlokalizowana tam baza łodzi podwodnych. Długi na 2 km tunel biegnący pod ziemią. Zbudowany w czasach zimnej wojny w celu napraw małych i średnich łodzi podwodnych. Na początku tunelu łodzie były rozbierane i od tego momentu łódź i uzbrojenie podróżowały osobno. Po naprawie łodzie wypływały drugą stroną tunelu gdzie ponownie były uzbrajane. Poza głównym tunelem w górze znajduje się sieć mniejszych tuneli i pomieszczeń.



Tunel łodzi podwodnych



Torowisko do przewożenia uzbrojenia

Po opuszczeniu bazy skierowaliśmy się na szczyt góry naprzeciwko wyjścia z tunelu. Prowadziła na niego fajna, kręta, szutrowa droga. Na szczycie jednak okazało się, że dalej jest tak gęsta mgła, że ten odcinek terenowy musieliśmy sobie darować i wróciliśmy się do asfaltu z nadzieją, że uda nam się wbić na niego chociaż w połowie.



Widok na Balaklave

Skierowaliśmy się w stronę miejscowości Rezerвне w której była by możliwość wjechania jeszcze raz na górę. Po drodze minęliśmy opuszczony kamieniołom który bardzo mnie zainteresował podczas wirtualnego zwiedzania Krymu lecz nie było czasu na zwiedzanie go w tej chwili.

Niestety po dojechaniu do Rezerвне okazało się, że droga jest zamknięta i po raz kolejny wojskowi kazali nam się zawrócić. Trudno. W takim razie postanowiłem, że pojedziemy w przeciwną stronę. Mała asfaltowa dróżka wysoko w górach z zerowym ruchem i fantastycznymi widokami. Jak się później okazało ruch był zerowy bo droga była zamknięta, a my nie zauważaliśmy znaków. A zamknięta była ponieważ osunęła się część drogi tworząc niewielki 5-10 centymetrowy uskok z którym nasze motocykle poradziły sobie bez najmniejszego problemu.

Po 2 godzinach jazdy dojechaliśmy do dolnej stacji kolejki linowej w Ałupce. Pod stacją kolejki zjedliśmy obiad i ruszyliśmy asfaltami na szczyt do górnej stacji kolejki po drodze robiąc sobie zdjęcie z Jaskółczym Gniazdem. Jaskółcze Gniazdo jest to mały neogotycki zameczek wybudowany w 1911r na szczycie wysokiego na 40 metrów klifu.



Za plecami Jarka kościół Foros



Jaskótcze Ganizdo

Dostanie się na górę zajęło nam 2 godziny jazdy po pięknych krętych drogach. Niestety pogoda nam nie dopisała gdyż ze szczytu nic nie było widać przez gęstą mgłę. Na domiar złego przy górnej stacji kolejki dopadła nas chmara ludzi wypytyjących skąd jesteśmy, dokąd jedziemy itd. Wszyscy próbowali nam coś sprzedać, jakaś masakra. Jarek poszedł kupić coś do jedzenia na dzisiejszy nocleg i uciekliśmy stamtąd jak najszybciej.



Widok na Jałtę



Górna stacja kolejki linowej

W planach był krótki odcinek offroad dokoła obserwatoriów, ale niestety gęsta mgła i wszechobecne zakazy i szlabany spowodowały, że wybraliśmy drogę asfaltową. Ostatnim celem na ten dzień był Wielki Kanion i znajdujący się tam Srebrny Wodospad. Wodospad był piękny, a na zwiedzanie całego kanionu niestety nie mieliśmy czasu. W drodze do wodospadu spotkaliśmy rodzinę ruskich który przyjechali pod wodospad tą terenową trasą którą chcieliśmy jechać i zapewniali, że jest przejezdna. Aczkolwiek trzeba uważać na leśniczych gdyż po drodze trzeba ominąć kilka szlabanów. Po wróceniu do motocykli była już 18sta. W górach było zimno i za bardzo nie było gdzie się rozbić. Powrót krętymi drogami na dół zajął by nam ponad 3 godziny więc ta opcja odpadła i byliśmy w przysłowiowej czarnej d...



Jarek poszedł się popytać ludzi gdzie można by tu przenocować. Napotkany motocyklista powiedział, że w okolicy jest zlot motocyklowy o którym słyszeliśmy już kilka razy i zaczął Jarkowi tłumaczyć drogę. Ja nic z tego nie rozumiałem, ale gość wspomniał coś o jakiś pustostanach, a jedyne jakie kojarzyłem w tej okolicy to te które mijaliśmy rano. Szybko odnalazłem w GPS i ustawiłem jako punkt docelowy licząc na to, że to jest to. Całe szczęście nie pomyliłem się bo według mnie droga kompletnie nie pasowała do tego co ten gość opisywał. Godzinka i byliśmy na miejscu.

Zlot BikeShow jest cykliczną imprezą organizowaną przez jedną prywatną osobę do której należał cały teren opuszczonego kamieniołomu. Zlot zaczynał się dopiero za tydzień, ale ludzie już się powoli zjeżdżali. Gdy pojawiliśmy się pod bramą i poprosiliśmy o azyl, właściciel zmierzył nas wzrokiem. Widział dwóch facetów którzy przyjechali na BMW w markowych ciuchach to od razu odpowiedział, że nie mają dla nas miejsc hotelowych. Jarek się zaśmiał i wytłumaczył, że nam wystarczy tylko kawałek płaskiego terenu nic więcej. Wtedy gość odpowiedział „swoje chłopy” i zaprowadzono nas na miejsce gdzie mogliśmy się rozbić.

Zlot był organizowany w stylu post-industrialnym. Wszędzie pracowali metaloplastycy spawając i tnąc w pocie czoła przygotowując dekoracje. Coś fantastycznego. Wszystko zaprojektowane i przemyślane w najmniejszych detalach. Liczyliśmy, że w nocy będą przeprowadzać próby oświetlenia ale niestety :(Jedyne co dopiero działało to światła bijące z kominia.



Oświetlenie na kominie



Nasz obozisk



Scena na zlocie BikeShow

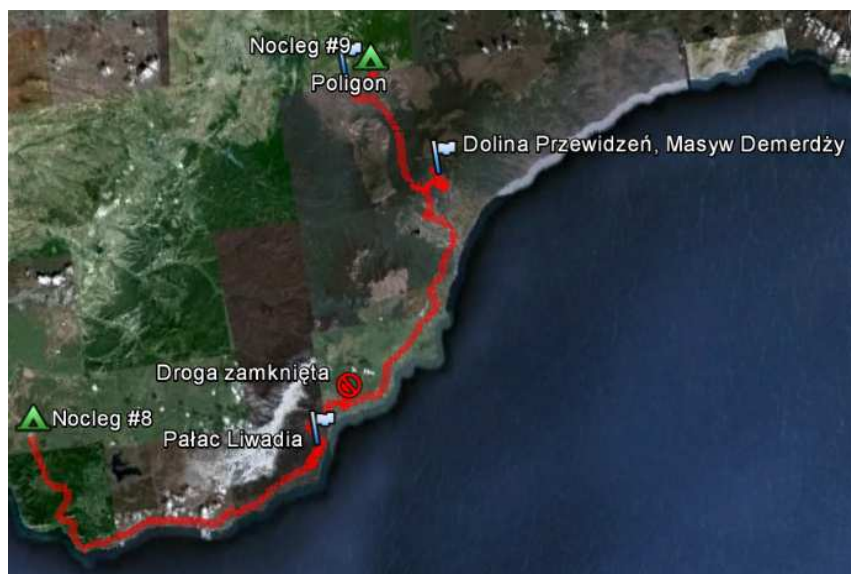


Bar złotowy



Brama wjazdowa na teren zlotu

Dzień 9 – Droga na płaskowyż - 169 km



Trasa – Dzień 9

Ten dzień zaczęliśmy od nadrobienia 50km straconych poprzedniego dnia. Wyszło na to, że zatoczyliśmy małe kółko, ale okazało się to dwa razy szybsze niż zjeżdżanie z góry tą krętą drogą.

Pierwszy na liście do zwiedzania był pałac Potockich w którym podczas konferencji Jałtańskiej podpisano rozbiór Polski. Już na etapie szukania zamku Jałta zaczęła nas mocno denerwować. Wszędzie jednokierunkowe uliczki do tego prywatne i płatne. Wszędzie kazali sobie płacić jakieś chore pieniądze za byle co. W końcu Jałta to miasto ruskich burżui.



Pałac Potockich w Liwadii



Stół na którym podpisano rozbiór Polski

Gdzieś w jakimś przewodniku przeczytałem, że w pałacu można sobie zrobić zdjęcie z tymi 3 pajacami które podpisały traktat i cały czas myślałem, że są tu po prostu jakieś figury woskowe. Lecz okazało się, że oni robią zdjęcie na tle pałacu, a tych trzech dokleją w PS. Darowaliśmy sobie tą przyjemność i postanowiliśmy jak najszybciej uciec z Jałty.

Na mapie znaleźliśmy kontynuację tej pięknej drogi którą jechaliśmy poprzedniego dnia. Niestety po raz kolejny zastaliśmy bramę z zakazem wjazdu. Tym razem cały górski odcinek drogi liczący ponad 70km był zamknięty z tego powodu, że gdzieś tam prezydent ma swoją posiadłość i można wjechać wyłącznie samochodem z przewodnikiem. Zjedliśmy obiad w znajdującej się tam restauracji i z bólem wróciliśmy na główną drogę.



Prywatna droga prezydenta.

Skierowaliśmy się w stronę miejscowości Ałushta, a dokładniej do znajdującego się niedaleko Luchyste. O 14 stanęliśmy u podnóża masywu Demerdży na który postanowiliśmy wjechać. Po przejechaniu przez dolinę Przewidzeń udało nam się wjechać prawie na szczyt. Zabrakło nam zaledwie paruset metrów które były zbyt strome i błotniste byśmy poradzili sobie takimi ciężkimi motocyklami. Gdy staliśmy tuż przed najtrudniejszym odcinkiem z góry zjeżdżał Ukrainiec Ułazem na zapiętym reduktorze i widać było, że ciężko mu idzie pokonywanie błotnych kolein. Gdy już nas mijał popatrzył na nasze motocykle i popukał się w czoło co tym bardziej nas utwierdziło w decyzji o rezygnacji dalszych prób wjechania na górę. Za to zdecydowaliśmy zjechać na dół i pojechać wzdłuż góry by spróbować na jej łagodniejszym zboczku którym w początkowych planach mieliśmy zjechać. Jeśli ktoś chce w miejscowości Luchyste istnieje możliwość wykupienia sobie wycieczki przez dolinę Przewidzeń na masyw Demerdży wymienionym wcześniej Ułazem lub konno. Z pewnością jest to lepsze opcja niż pchanie się tam ciężkimi motocyklami.



Dolina Przewidzeń i Masyw Demerdży



Trudny odcinek podjazdu



Ten niby łagodniejszy podjazd na płaskowyż

Niestety również w tym drugim miejscu góra nas pokonała. Mi udało się wjechać do połowy, Jarek został na dole, a na sam szczyt doszedłem na piechotę by sprawdzić jak płaskowyż wygląda w dalszej części i czy opłaca się za wszelką cenę na niego wspiąć. Byliśmy bardzo zmęczeni próbami podjazdu pod tą górę i Jarek do końca wyjazdu wypominał mi ten płaskowyż :) Po naradzie zrezygnowaliśmy z dalszych prób, a że było już późno to rozbiliśmy namioty na pobliskich łąkach. Trawa była tak wysoka, że w namiotach mieliśmy naturalne materace :)



Widok z płaskowyżu



Prawie na szczycie

Siedząc przy kolacji i popijając piwko powiedziałem Jarkowi, że chyba jesteśmy na terenie jakiegoś poligonu wojskowego w co Jarek nie chciał mi uwierzyć pomimo, że pokazałem mu zdjęcie tablicy którą mijaliśmy po drodze. Ja po ukraińsku czytać nie umiem, ale jak na znaku są żołnierze i czołgi, a na końcu napisu stoi wykrzyknik to wiesz, że coś się dzieje. W każdym bądź razie zostawiliśmy wyjaśnianie tej sprawy do rana.

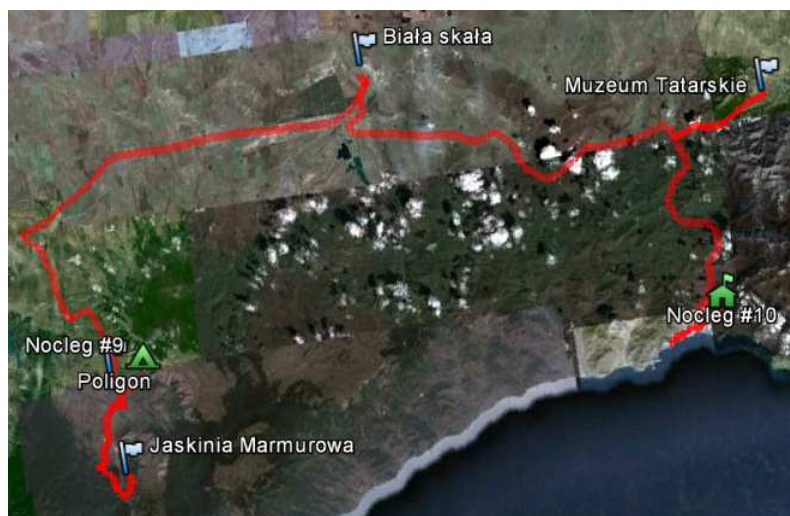


Tablica informująca o wjeździe na poligon



Nocleg na poligonie

Dzień 10 – W poszukiwaniu szewca - 194 km



Trasa – Dzień 10

Tej nocy obudził nas alarm w moim motocyklu. Zerwaliśmy się na równe nogi. Ja chwyciłem za nóż, gaz i wybiegłem z namiotu lecz nic się nie działo. Obszedłem motocykl dookoła i wszystko wyglądało w porządku uzbroiłem ponownie alarm i poszliśmy dalej sapać uważając to za fałszywy alarm. Dopiero rano zauważyliśmy w tej wysokiej trawie wygnieciony ślad za krzak i dalej w kierunku gór. Najprawdopodobniej gdy wstaliśmy ktoś ukrył się za krzakiem, a później uciekł. Całe szczęście nic nie zginęło.

Tego dnia trochę się cofnęliśmy i wspięliśmy szutrowymi drogami na 918 m npm by zobaczyć położoną niedaleko jaskinie Marmurową. To najczęściej odwiedzana jaskinia na Krymie. Nazwa jaskini pochodzi od koloru skały wewnątrz pieczary. W jaskini można fotografować po wykupieniu biletu na aparat za 10 hrywien. Obok znajduje się druga jaskinia w której można zobaczyć odnaleziony tam szkielet mamuta.

Motocykle zostawiliśmy u miłego starczego pana który miał swój dom tuż obok wejścia do jaskini. Miał on 70lat choć zupełnie na to nie wyglądał. Zajmował się zaopatrzeniem mieszającej się na górze bazy turystycznej.

Żeby wyjechać spod jaskini trzeba było minąć po poboczu zamknięty szlaban. Ja przejechałem i usłyszałem z tyłu huk. To Jarek stracił równowagę i przewrócił się centralnie na końcówkę szlabanu. Na szczęście nic się nie stało, a Jarek w czasie całej podróży chyba wykorzystał zapas szczęścia na następny rok.



Droga do jaskini



Ten Pan ma 70lat. Wygląda na tyle?



Ukraiński patent na uszczelnienie połączenia



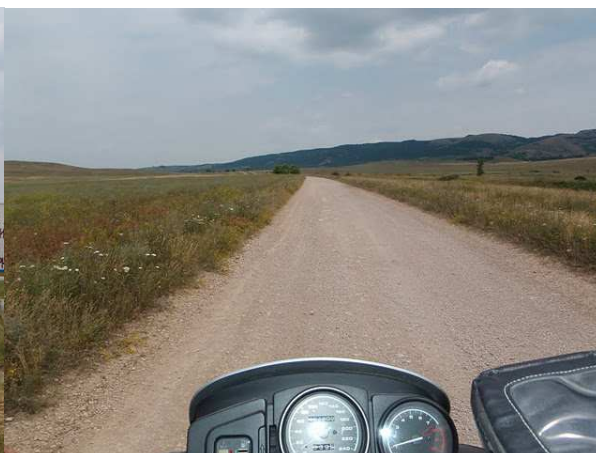
Wnętrze jaskini

Po obejrzeniu jaskini pojechaliśmy szutrą w głąb Krymu i skierowaliśmy się na wschód. Przejeżdżaliśmy drugi raz przez poligon na którym spaliśmy. Zaledwie kilometr od naszego obozu stacjonowało wojsko, czołgi, karabiny i te takie rzeczy co mają wojskowi.

Po dojechaniu do Białej Skąty mieliśmy wjechać na kolejny odcinek terenowy, niestety dzieliła nas od niego rzeka. Jarek już chciał przejeżdżać gdy z naprzeciwka przyjechała ciężarówka. Widok jej mozolnej przeprawy przez rzeczkę zniechęcił nas to brodzenia i postanowiliśmy wrócić z powrotem na główną drogę.



Atrapa czołgu na poligonie



Piękna droga przez poligon



Biała skała



Przeprawa przez rzeczkę

Kolejnym punktem na naszej drodze była miejscowość Stary Krym od której nazwę wziął cały półwysep. Spodziewaliśmy się zobaczyć tam najstarsze zabudowania Krymu lecz nic z tych rzeczy tam nie ma. Za to Jarek znalazł w końcu szewca którego szukał bodajże od Rumunii. Jak tylko zobaczył napis szewc zatrzymał się i z wielką radością oddał buty do podklejenia. Przebraliśmy się w cywilne ciuchy i ruszyliśmy na zwiedzanie. Po przejściu paru metrów okazało się, że szewców na tej ulicy jest więcej niż jeden, a w zasadzie cała ulica szewców. Za rogiem stała ikona tych stron czyli przyczepa beczkowóz z której sprzedawano kwas. Jarek kupił szklaneczkę tegoż specyfiku, ja podszedłem trochę sceptycznie do tego.

Spacerując po Starym Krymie zaszliśmy do prywatnego muzeum Tatarskiego. Prowadziła je rodowita Tatarka która wróciła na te tereny po jakimś czasie. Muzeum jest niekonwencjonalne. Mały domek, przed wejściem zdejmujemy się buty i wchodzi do izby, a następnie przechodzi do salonu. Każdy turysta traktowany jest jak gość. Siada się na sofie, dostaje herbatę i ciastka. Gdy my popijamy herbatkę gospodyni opowiada o historii tatarów krymskich. Naprawdę warto jest odwiedzić to miejsce.



Szewc



Przed muzeum tatarskim



Beczka z kwasem

Ostatnim punktem tego dnia była miejscowość Sudak w którym znajdowały się ruiny twierdzy. Jako, że było już późno postanowiliśmy znaleźć jakiś nocleg w okolicy. Nie udało nam się namierzyć, żadnego miejsca na dziko (później okazało się, że szukaliśmy ze złej strony miasta). W centrum miasta za to stoi dużo ludzi z kartkami informującymi, że wynajmą pokój. Skorzystaliśmy z jednej oferty i na tą noc zakwaterowaliśmy się u rodziny taksówkarza 2 km od centrum miasta. Wykapaliśmy się, przebraliśmy i taksówką pojechaliśmy choć raz zobaczyć jakieś miasto nocą. Decyzja okazała się strzałem w

dziesiątkę. Sudak w nocy jest wielką imprezownią. Wszędzie kluby, dyskoteki, parki rozrywki itd. Przez całą noc chyba wszystkiego nie przeszliśmy. Za to co piwo zmienialiśmy lokal. Śmiesznym jest, że każdy lokal ma inny wystrój np. dziki zachód, gangsterski, włoski, ale wszędzie gra taka sama muzyka... disco. W jednym lokalu zauważyliśmy grupkę ludzi oglądających film. Najprawdopodobniej było to after-party po jakiś zawodach. Na ekranie leciały filmiki z wojaży na crossach w okolicznych górach przez które notabene mieliśmy następnego dnia jechać. Ja się nie mogłem doczekać, a Jarek chyba na taki widok od razu wyobraża sobie płaskowyz z poprzedniego dnia :)

W końcu znaleźliśmy jedną knajpę w której grała normalna muzyka, a dokładniej kapela na żywo. Piwo tanie tam nie było, ale warto było popatrzeć po innych stolikach i poobserwować jak bawią się nowobogaccy ruscy.



Rodzina u której zatrzymaliśmy się na noc

Dzień 11 – Pływając z delfinami - 219 km



Trasa – Dzień 11

Z rana pojechaliśmy zwiedzić twierdzę w Sudaku, a następnie ruszyliśmy na wschód wzdłuż wybrzeża. Mieliśmy przejechać parę kilometrów szuterkami po okolicznych górach jednak jak Jarek zobaczył góry i przypomniał sobie filmiki oglądane wczoraj w jednej z knajp postawił weto. Nic nie dały moje zapewnienia, że będzie łagodnie. Trudno. Wycofaliśmy się do głównej drogi przy której stał sklep z tutejszym winem. Nie omieszkaliśmy zatrzymać się i chociaż skosztować, a przy okazji kupiliśmy też coś na ten wieczór.



Twierdza Sudak



Drzewo z modlitwami



Widok na Sudak



Skala po której wspinają się nasi znajomi.

Ledwie ruszyliśmy, a tu wyprzedziły nas dwa motocykle na polskich blachach. Zatrzymaliśmy się by pogadać z rodakami. Łukasz, Daria, Kuba i ??? przez całą drogę jechali pół dnia za nami. Tak samo jak my jechali przez Rumunię, przekraczali tę samą granicę z Mołdawią, a ostatniego wieczora też nocowali w Sudaku. Co śmieszniejsze jak rano zwiedzaliśmy twierdzę oni wspinali się na skałce którą widzieliśmy. Nawet dalsze plany mieliśmy podobne, pojechać zobaczyć niedokończoną elektrownię jądrową i wrócić przez mierzeje do Ukrainy z tym, że my chcieliśmy zobaczyć jeszcze Złote Wrota. Pożegnaliśmy się i pojechaliśmy do Kurortne gdzie złapaliśmy statek wycieczkowy.



Sklep z miejscowym winem.



Nasi nowi znajomi



Koniki :P

Statek to dużo powiedziane, była to mała rozlatująca się krypa która zabrała nas do Złotych Wrót, przepłynęliśmy przez nie i wracając mieliśmy okazję zobaczyć delfiny w naturalnym środowisku skaczące tuż przy łodzi. Złote Wrota jest to skalny łuk stojący w morzu. Dawno temu stąd wyruszały dalekie morskie wyprawy, dziś jest to ikona Krymu i ulubione miejsce reżyserów.



Mapa rezerwatu



Złote Wrota

Po powrocie pojechaliśmy prosto do elektrowni. Klimat prawie jak w Czarnobylu. Całkowicie opustoszałe miasto które było wybudowane dla ludzi którzy mieli pracować w elektrowni. Przy samym budynku reaktora większość rzeczy była już rozkradziona przez złodzieży i nie widać było tego, że do skończenia elektrowni brakowało już tylko rdzeni. Ogromna ilość komarów nie pozwoliła nam zostać tam długo. Zrobiliśmy kilka zdjęć i darowaliśmy sobie zwiedzanie samego reaktora. Wróciliśmy do głównej drogi zatankowaliśmy pod korek i ruszyliśmy w stronę mierzei mając nadzieję na nocleg gdzieś w okolicy.



Widok na miasto z drogi dojazdowej



Budynek reaktora

Pierwsze kilometry mierzei już dały nam się we znaki. Liczyliśmy, że przed mierzeją będzie jakieś większe miasto i uda nam się zrobić zakupy, ale je przegapiliśmy. Po 10km trafiliśmy do jakiejś małej zapomnianej wsi, na której końcu było coś w rodzaju obozu. Kilka starych wagonów i niewielka świetlica. Jarek jako, że tylko on potrafi rozmawiać po ichniejszemu, poszedł zapytać się czy jest w okolicy jakiś sklep. Wrócił z najdroższymi zakupami jakie zrobiliśmy na Krymie, ale całe szczęście udało się coś kupić. Odjechaliśmy jeszcze ze 2-3km i rozbiliśmy się przy drodze.

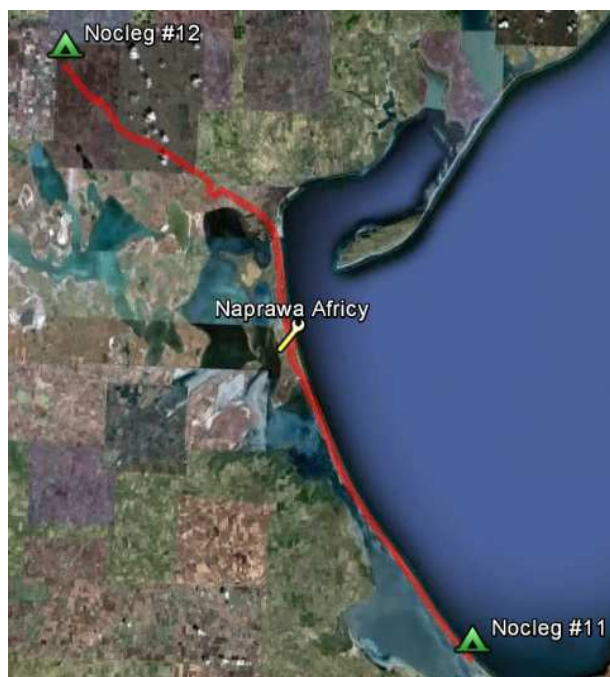


Obóz na początku mierzei



Droga na mierzei

Dzień 12 – Elektryka prąd nie tyka - 160 km



Trasa – Dzień 12

Ostatni dzień na Krymie. Do granicy zostało nam tylko 110km totalnego odludzia. Droga była marna. Sucha i twarda, lecz cała była w drobne prążki przez które motocykl wpadał w bardzo nieprzyjemne wibracje. Jedyną radą na to była bardzo szybka jazda tak, żeby motocykl w zasadzie leciał nad nierównościami. W związku z tym całą mierzeję przejechaliśmy w zaledwie 2 godziny.



Nasz nocleg

Droga przez mierzeję

Na końcu w miejscowości Strilkove spotkaliśmy poznanych dzień wcześniej Polaków. Nawalił im jeden z motocykli więc ruszyliśmy im z pomocą. Uszkodzeniu uległa prawie cała elektryka motocykla. Po wymianie regulatora i akumulatora jakoś udało się uruchomić motocykl na tyle by dało się nim dojechać do Polski. Ponieważ Łukaszowi i Darii śpieszyło się do Polski na pogrzeb Darii babci postanowiliśmy z Jarkiem ich eskortować w razie gdyby im się coś jeszcze po drodze popsuło.



Naprawa motocykla Łukasza

W sklepie wiedzą jak Jarkowi zapakować zakupy

Na nocleg wyjechaliśmy kilkadziesiąt kilometrów za Krym i rozbiliśmy się pod mostem przy przydrożnym kanale. W planach było pokonanie całej Ukrainy w jeden dzień więc nastawiliśmy budziki na 4 rano i poszliśmy od razu spać.



Szczęśliwy Łukasz na naprawionym moto



Nocleg nad brzegiem kanału

Dzień 13 – Daleko jeszcze? - 1157 km



Trasa – Dzień 13

Tego dnia jechaliśmy przez 26 godzin i oczywiście nie bez przygód zarówno z motocyklem jaki i z ukraińską milicją.

Wstaliśmy tak jak planowaliśmy o 4 godzinie i szybko ruszyliśmy w stronę Polski. Ponieważ było ciemno, a Łukasz nie miał świateł z tyłu uczepiliśmy mu lampkę rowerową którą akurat miałem w bagażu.

Przez pierwsze 10godnin jechaliśmy bez większych problemów i zrobiliśmy 650km. W zasadzie nudna prosta droga. Wjechaliśmy do miejscowości Vinnytsia i trafiliśmy akurat na duże korki. Na każdym świetłach zwiększał się dystans między nami a Kubą. W końcu się zgubiliśmy. Pojechaliśmy drogą z pierwszeństwem zamiast pojechać prosto. Wyjechaliśmy za miasto i stanęliśmy na poboczu. Do Kuby nie mogliśmy się do dzwonić, a jak się już udało okazało się, że stoją na stacji benzynowej kawałek przed nami i rozbierają motocykl bo coś się popsło. Pół godziny później ruszamy w dalszą drogę.



Jarek na trasie



Krótki postój

40km dalej kolejna awaria. Okazało się, że niezbyt dokładnie poskładaliśmy motocykl Łukasza i luźno wiszący przewód paliwowy przetarł się o łańcuch. Łukasz wyciął przetarty kawałek i pojechaliśmy dalej licząc, że to już ostatnie przygodny po drodze.

W miejscowości Khmelnytsky zrobiliśmy sobie godzinny postój. Każdy zjadł to na co miał ochotę. W czasie gdy staliśmy na stację benzynową podszedł do nas starczy pan, spojrzął na nas i powiedział, że wyglądamy na bardzo zmęczeni i czy aby nie chcemy u niego przenocować. Podziękowaliśmy bo chcieliśmy jeszcze tego dnia dojechać chociaż do granicy.



Napraw uszkodzonego przewodu paliwowego



Mój nieszczęsny kask.

16ta godzina jazdy. Pokonaliśmy już 822km i pierwsza przygoda z milicją. Akurat gdy Łukasz wyprzedzał na podwójnej ciągłej z naprzeciwka jechał radiowóz. Szybko zawrócił i nas zatrzymał. Pech chciał, że akurat Łukasza który jechał na nie do końca sprawnym motocyklu. Całe szczęście udało się z władzą dogadać i to nawet obeszło się bez dzięków, ale za to pech chciał, że zaczęła padać.

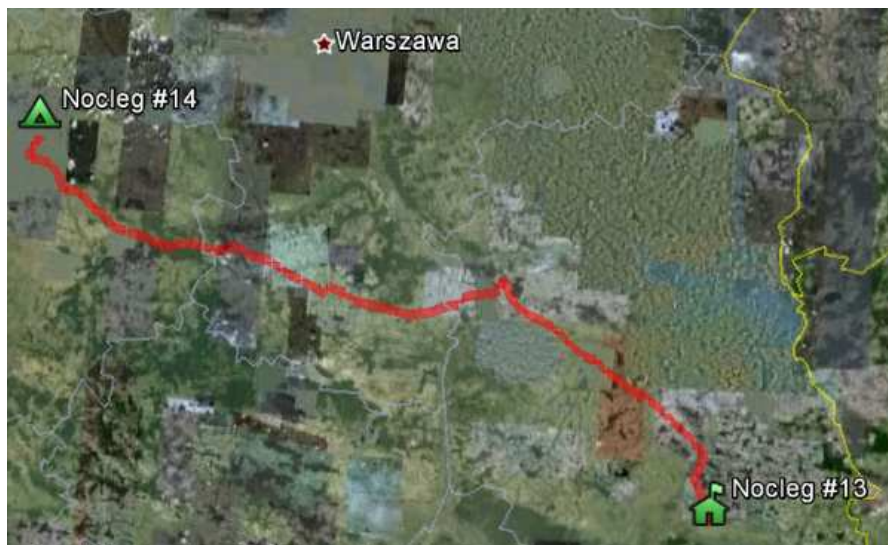
Rozpadało się strasznie. W zasadzie jechaliśmy w ścianie deszczu. Zaraz po wjechaniu do Tarnopola znowu w lusterkach widzimy milicyjne syreny. Milicjant podchodzi do mnie i prosi o dowód od samochodu, a że ja byłem zmęczony nie zacząłem o co mu chodzi. Z wyśmiałem go, że samochodu od motocykla nie potrafi rozróżnić. Później dopiero okazało się, że do Tarnopola nie można wjeżdżać na motocyklach. Z milicjantami jakoś udało się dogadać ale musieliśmy się zawrócić i objechać miasto.

Padało coraz mocniej, a ja już w zasadzie spałem. Co jakiś czas otwierałem szybkę, żeby trochę owiało mi twarz, aż w pewnym momencie szybka odpadła. Samą szybką udało mi się złapać, ale mocowania poszły w diabły. Więc przykleiłem ją szarą taśmą na stałe i od tej pory już się jechało naprawdę masakrycznie. Za Lwowem zaczęła się kiepska droga. Strasznie wyboista. Przy każdym dołku miałem wrażenie, że mój motocykl się rozpadnie. Coś strasznie uderzało. Kilka razy się zatrzymałem by sprawdzić czy aby wszystko jest na swoim miejscu i czy felgi nie są już jajowate. Dopiero w domu zauważyłem, że brakuje w ramie jednej śruby i cały ciężki tył motocykla razem z kuframi trzymał się w zasadzie tylko na wydechu. A do usterki najprawdopodobniej doszło na wyboistej mierzei.

Gdy przekroczyliśmy granicę już świtało. Minęły właśnie 24godniny od startu. Byliśmy totalnie wykończeni, ale postanowiliśmy jeszcze dojechać chociaż do Zamościa. Próbowaliśmy namówić Łukasza by chociaż 2 godziny się zdrzemnął, ale się nie udało. Pożegnaliśmy się z Łukaszem i Darią w Zamościu. Oni pojechali do Łodzi my znaleźliśmy zaprzyjaźniony kemping i się zdrzemnęliśmy.



Dzień 14 – Niespodzianka - 351 km



Trasa – Dzień 14

Ponieważ wróciliśmy dzień wcześniej do Polski niż zamierzaliśmy postanowiliśmy zrobić Sztynwnemu niespodziankę i zaszczyścić go swoją obecnością na organizowanej przez niego imprezie.

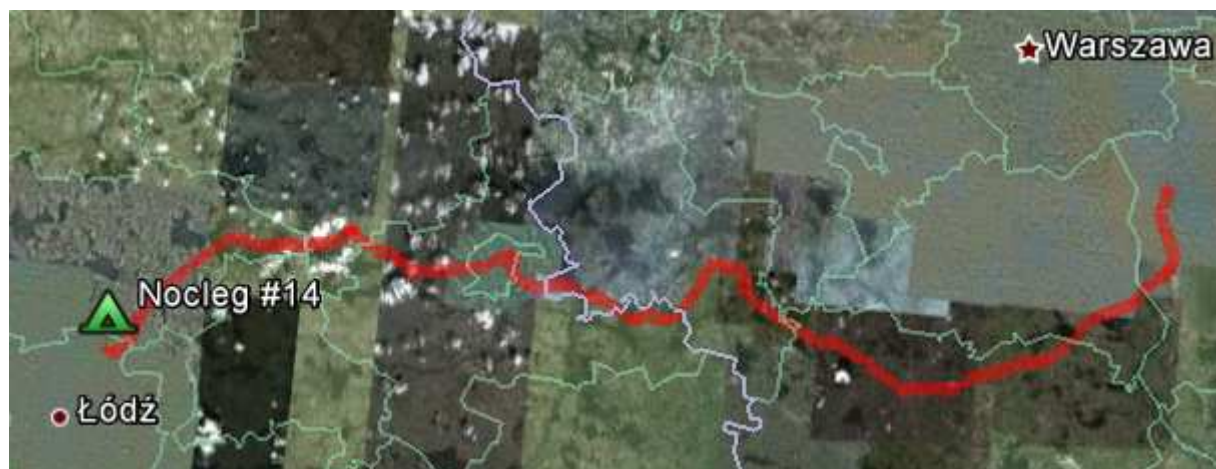
Po przebudzeniu się z krótkiej drzemki, pożegnaliśmy Kubę który jeszcze postanowił zwiedzić Zamość i ruszyliśmy w stronę Łodzi. Po drodze zjedliśmy obiad w Bidzie i staraliśmy się trochę jeszcze przebudzić. Jarek wyglądał lepiej ode mnie, a mi wciąż chciało się spać.

Niespodzianka się udała. Wszyscy byli w zaskoczeniu, że do nich przyjechaliśmy choć sam Sztynwny zaczął podejrzewać, że do niego przyjedziemy ponieważ przez cały dzień nie odbierałem od niego telefonów. Fajnie było poopowiadać o wyprawie, ale byłem tak zmęczony, że szybko poległem.



Pa pa

Dzień 15 – Welcome sweet home - 165 km



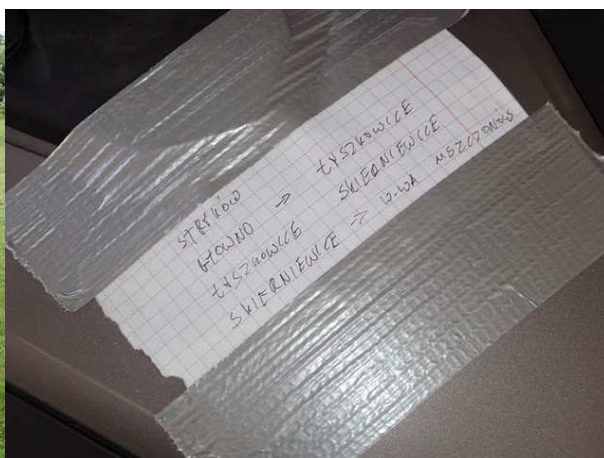
Trasa – Dzień 15

Po raz ostatni zwijamy namioty, pakujemy się, żegnamy ze znajomymi i ruszamy do domu. Sztynwny podał nam namiary na skrót i tym razem nawigowałem tradycyjnie. Poza jednym przeoczeniem znaku trafiliśmy niemal bezbłędnie i po niecałych 3 godzinach byliśmy już w domu. Nareszcie można było się wykapać i wyspać we własnym wygodnym wyrku.

To koniec podróży. Mam nadzieję, że po przeczytaniu tego Tobie podobało się tak samo jak nam :) Szerokości!



Nasz namioty u Sztynwnego



Tradycyjna nawigacja



Mapa naszej całej wyprawy na Krym (5078km)

THE END